

PAŃSTWOWY

TEATR

IM. AL. FREDRY W GNIEŹNIE

GABRIELA ZAPOLSKA

Panna Maliczewska

sztuka w trzech aktach

PREMIERA DNIA 9. IV. 1960 ROKU

Czytelnik znajdzie w Programie wydanym z okazji premiery **PANNY MALICZEWSKIEJ** szkic o życiu i twórczości autorki, esej Tadeusza Żeleńskiego, felieton Gabrieli Zapolskiej i notę reżysera spektaklu. Zestawiając publikowane materiały, zwracamy uwagę na ewolucję pojmowania sztuki Zapolskiej od prapremiery, kiedy **PANNA MALICZEWSKA** była aktem protestu przeciw obyczajowości mieszczańskiej, poprzez międzywojenne dwudziestolecie, w którym jeszcze żywo odczuwano pamfletowość komedii, do najnowszej próby odczytania sztuki jako dramatu osaczenia lub co najmniej wyobcowania.

Gabriela Zapolska

Gabriela Piotrowska, znana później pod pseudonimem Zapolskiej, urodziła się w r. 1860 (1859?) w Kiwercach pod Łuckiem, jako córka zamożnego wołyńskiego ziemianina Wincentego Korwin Piotrowskiego i Gabrieli z Karskich, byłej primabaleriny Opery Warszawskiej.

Po krótkotrwałej edukacji szkolnej w lwowskim Sacré Coeur i na pensji Horoszkiewiczowej, wychodzi w r. 1878 za mąż za Konstantego Śnieżko-Błockiego, porucznika gwardii carskiej. W r. 1881 rozstaje się z mężem i wstępuje do teatru. Pracuje jako aktorka w Krakowie, Poznaniu, Petersburgu i Lwowie, oraz w objazdowych teatrach na terenie trzech zaborów.

Równolegle z aktorstwem zaczyna uprawiać działalność literacką. W r. 1883 drukuje nowelę „Jeden dzień z życia róży” w „Kurierze Krakowskim” i „Małaszkę” w „Przeglądzie Tygodniowym”, a w roku 1885 wydaje pierwszą swą książkę pt. „Akwarele”, która zyskuje sobie uznanie krytyki postępowej i gorszy ogromnie opinię drobnomieszczańską. W tym samym roku rozpoczyna „Przegląd Tygodniowy” druk jej powieści „Kaśka Kariatyda”. Rok później grana jest w Poznaniu krotochwila Zapolskiej pt. „Łysy Kupidyń”, a w Warszawie adaptacja sceniczna jej „Małaszki”. W roku 1889 publikuje Zapolska w „Przeglądzie” swe „Przedpiekle”.

Po bezskutecznych próbach zaangażowania się do warszawskich Teatrów Rządowych, wyjeżdża Zapolska do Paryża, gdzie dokształca się aktorsko u Talbota i Antoine'a. Grywa początkowo w teatrzykach bulwarowych, potem w ówczesnych teatrach awangardowych: Théâtre Libre oraz w Théâtre de l'Oeuvre.

Czteroletni pobyt w Paryżu (od 1889 r.) nie przyniósł Zapolskiej aktorskich sukcesów, wzbogacił za to jej dorobek pisarski o pięć powieści, nowele, wydane później w tomie „Menażeria ludzka”, oraz liczne korespondencje nadsyłane do „Przeglądu Tygodniowego”.

Zniechęcona paryskimi niepowodzeniami aktorskimi, wraca Zapolska do kraju. Grywa w Warszawie, Krakowie i Lwowie, występując gościnnie również w Lublinie i Petersburgu. W r. 1900 opuszcza scenę i wstępuje do redakcji lwowskiego „Słowa Polskiego”, gdzie pisuje felietony i recenzje teatralne.

W roku 1902 przenosi się do Krakowa i zakłada wraz ze swym drugim mężem Stanisławem Janowskim szkołę teatralną, a później zwiążaną z ich szkołą „Scenę Niezależną”. Uprzykrzywszy sobie rychło pracę pedagogiczną, stara się bezskutecznie o koncesję na prowadzenie teatru ludowego w Krakowie. Wreszcie w r. 1907 organizuje razem z Janowskim własny zespół teatralny, działający na terenie Galicji.

W tym okresie powstają najwybitniejsze utwory dramatyczne Zapolskiej: „Moralność pani Dulskiej” (1906), „Ich czworo” (1907), i „Panna Maliczewska” (1910).

Nieustanny wysiłek twórczy odbija się ujemnie na zdrowiu Zapolskiej. Mimo kuracji, odbywanych w uzdrowiskach galicyjskich i zagranicznych, Zapolska traci okresowo wzrok i słuch.

Umiera we Lwowie, 17 grudnia 1921 r. „w opuszczeniu i nędzy”.

Z myśli reżysera o Stefce Maliczewskiej

O co walczy Stefka? O stanowisko i pieniądze, o to, żeby jeździć na gumach i pić kawę? — Na pewno chodzi jej i o te uroczę dla niej imponderabilia, ale czy tylko o to i czy przede wszystkim o to? Stefka żyje w społeczeństwie, w którym podstawowym kryterium oceny człowieka są pieniądze i stanowisko. Kto nie posiada tych walorów, nie liczy się. A Stefka chce się liczyć — ma poczucie swojej wartości i ma prawo dążyć do sprawdzenia jej.. Czy jej ambicje są wygórowane? Sztuka zaczyna się walką o start życiowy, a kończy się klęską zanim Stefka zdołała wystartować. Otoczenie przekreśla ją z góry, zanim zdołało sprawdzić jej wartość. Skąd taka zawziętość wobec słabej dziewczyny, dziecka prawie?

Można wyróżnić kilka przyczyn tej zawziętości: Otoczenie broni się przed powiększaniem grona „wybranych”, aby nie uszczuplić własnych korzyści materialnych i moralnych. Poza tym Stefka jest tu obca — reprezentuje inną mentalność, inną moralność. Ona narusza właściwe temu środowisku reguły gry. Nazywa rzeczy po imieniu, a Daumowie i Boguccy mają, chyba, „prawo” do obawy, aby pewne sprawy, dotyczące ich osób, nie zostały nazwane po imieniu.. Czy środki, jakimi Stefka posługuje się w walce o swój życiowy start, dyskwalifikują ją moralnie w porównaniu z otoczeniem, które ją osądza? Stefka ma świadomość tego, jak wielką płaci cenę — wie jaka jest jej „sytuacja”, ale nawet w przymusowej sytuacji płaci tę cenę sama — nie obciąża nią nikogo. W całej sztuce jest jedyną postacią, która nikogo nie krzywdzi..

TADEUSZ ZELEŃSKI (BOY)

Panna Maliczewska

Aby ta świetnie napisana komedia stała się klasycznym arcydziełem, brak jej może tylko harmonii myśli, spojrzenia na rzeczy z pewnej wysokości. Tak jak jest, jest to bezlitosny i trafny zresztą pamflet na mężczyzn, napisany przez kobietę. Otóż, prawie równocześnie z „Panną Maliczewską” powstała inna bardzo dobra sztuka, napisana z kolei przez mężczyznę: „Aszantka” Perzyńskiego. I te dwie komedie uzupełniają się poniekąd. Stefa Maliczewska marzy o tym, aby znaleźć kogoś, kto by ją kochał, kto by dał jej wszystko; Aszantka, nad wszelkie swoje spodziewanie, takiego znalazła: i co mu daje w zamian?... Otóż w różnoprocentowych kombinacjach Aszantki z panną Maliczewską można by ujrzeć wzory wszystkich prawie życiowych sytuacji z tego zakresu. A jako motto mógłby szczerzy zęby ironiczny — nie dość wyzyskany zresztą — tytuł komedii Maszyńskiego „Koniec i początek”...

Jest pod koniec sztuki scena, kiedy adwokat Bogucki omawia warunki swego współżycia z panną Maliczewską. Mówi jej: „Tyle mogę ofiarować, tego a tego spodziewam się w zamian”. Jest bardzo obrzydliwy, przyznaje. I to uczucie obrzydliwości, jakie budzi, jest zastanawiające. Bo jedno jest charakterystyczne: mówi się wiele o nieuczciwości mężczyzn w stosunku do kobiet. Tymczasem mężczyzna w takiej sytuacji ma dwie drogi. Albo powie: „Tego a tego mogę się podjąć, na to możesz liczyć, na więcej nie”. I dopełni tego. Albo też powie: „Kwiatami ci życie uścielę, jesteś moim cudownym snem” etc, i otrzymawszy to, czego chciał, drapnie przy pierwszym kłopotcie.

Zdawałoby się bezsporne, że pierwszy — biorąc bodaj po kupiecku — jest to człowiek uczciwy, a drugi oszust. Tymczasem rzecz ciekawa: świat bardzo łatwo rozgrzeszy postępowanie tego drugiego; kobieta nawet — jeżeli ładnie mówi — zachowa go we wdzięcznej pamięci, podczas gdy pierwszy, ze swą kupiecką rzetelnością, będzie wstrętny. Tak, Bogucki, układający swe punkty ze Stefą, jest wstrętny; ten sam Bogucki, okłamujący biedną dziewczynę, aby ją potem bez skrępowań porzucić, byłby

takim sobie „sympatycznym lekkoduchem, jakich pełno w literaturze. Oto dowód, jak trudne są te rzeczy. Może w samej istocie miłości jest to, aby żyła złudzeniem i kłamstwem, tak jak kwiaty obełgują się potrosze zapachem i barwą?

I mimo woli, kiedy patrzymy na tę scenę, staramy się przejrzeć koniec tego początku. Albo ten Bogucki ustawi między sobą a Stefą barierę, która będzie jej wciąż przypominała: „tyle chcę i mogę, więcej nie” — i zyska jej nienawiść; albo też pozwoli się jej osiodłać stopniowo, i pewnego dnia spostrzeże, że ma wszystkie ciężary małżeństwa, tylko bez jego wygód. Na tę chwilę czyhać będzie Stefa i skorzysta z niej. Może osiągnie swój niedościgły ideał: zostać **ślubną żoną!** Pobiorą się. Wówczas Stefa zrzuci maskę. I pan mecenas ujrzy się właścicielem głupiej i pospolitej baby, której się będzie musiał wstydzić, która będzie kładła kabałę i spiskowała przeciw niemu z kucharką, która będzie go nienawidziła za jego wieloletni opór, a pogardzała nim za jego słabość. Tych zadatków przyszłości, tkwiących w Stefie Maliczewskiej, nie pokazała nam autorka; dała jej ów jednodniowy wdzięk kwiatu, podczas gdy biednych mężczyzn odarła — och, doszczętnie! — z wszelkiego wdzięku nie tylko flory, ale i fauny.

W tym więc stroniczość pamfletu. Nie miejmy o to pretensji. Jedynie największym twórcom — jak na przykład Mollerowi w „Mizantropie” — zdarza się, w sprawach między dwoma płciami, wznieść do wyżyn absolutnej bezstronności. Jeżeli sztuka Zapolskiej nie zaspokaja nas myślowo, w zamian pobudza do myślenia, potrąca tysiączne refleksje na temat t. zw. miłości, które — trudne same przez się — stały się gordyjskim węzłem ludzkości przez zagmatwanie ich elementami ekonomicznymi. Cóż za dziki pomysł nazywać **miłością** sprawę, w której każda strona chce drugą wyzyskać i oszukać!

Nie byłaby Zapolska sobą, gdyby nie rozprawiła się przy tej sposobności ze znieprawioną **dulszczyzną**. Są tu dwie paniusie z komitetu dla podnoszenia upadłych kobiet. Głupie, wcibskie, nadęte... Te dobroczynne damy mają dla swoich klientek tylko frazes. Ale gdyby nawet miały i coś więcej, gdyby dawały im pracę, taką do jakiej ta Stefa Maliczewska jest zdolna — szycie, pranie? — alboż by ją przyjęła ta dziewczyna, która już zaciągnęła się powietrzem kulis i tandetnego zbytku? Szkoda, że nie wiemy, czy panna Maliczewska ma talent, to by stwarzało nowy jeszcze problem. Zdaje się, że nie: tak jak ją widzimy, przedstawia ona — straszne połączenie! — raczej materiał na kokotkę o burżuazyjnych ideałach i monogamicznych instynktach, czyli stworzoną na to, aby być utrapieniem dla siebie i drugih.

Sztukę Zapolskiej słucha się z zupełną świeżością, nic się w niej nie zestarzało. Co najwyżej jakiś szczegół brzęknie nam od czasu do czasu przeszłością, pobudzając nas do refleksji porównawczych. W jakim stopniu zmieniła się epoka, jaki jest los pańien Maliczewskich dziś? Zapewne dość podobny. Kiedy jestem w którymś z wesołych teatrzyków, gdzie ze sceny kilkanaście figurantek łyśka białymi ząbkami w uśmiechu, zawsze na-

wiedza mnie mimo woli jakiś smutek, odczuwam iloma łzami nabrzmiaty jest ten uśmiech, ile wściekłych rywalizacji, nienawiści, nadziei, zawodów kołace się w tych rytmicznie wygimnastykowanych serduszkach. A jednak zmieniło się dużo! Przede wszystkim jądospis karier jest większy. Dawniej ta Stefa miała do wyboru, albo balię do prania, albo teatr; z talentem czy bez. Dziś domena panien Maliczewskich jest wcale szeroka, mogą sobie dobierać oręż bardziej indywidualnie. Zanika też owa okrutna granica, dzieląca niegdyś kobiety, które można kochać **uczciwie** od takich, których nie można kochać; **girlasy** robią świetne partie, a klempy im zazdroszczą. No, ale z tym jest jak z żołnierzami Napoleona i ich słynną „buławą w tornistrze”.

Co bądź by można mówić o **ideowej** stronie sztuki Zapolskiej, scenicznie trzyma się świetnie. Rola w rolę. Dialog, na którym mogli by się uczyć młodzi pisarze; każde słowo potrzebne, każde celne, wyostrzone. Wszystko się wiąże z sobą, dopełnia się nawzajem. Trzy fazy mężczyzny: od nieodpowiedzialnego idealizmu (cudzym kosztem) młodego Dauma, aż do chamstwa i hipokryzji starego, poprzez taniego lowelasa w wieku średnim — ach, cóż za menażeria! I ta Stefa Maliczewska, nakreślona bez złudzeń, głupia jak poranek pospolitego dnia, o którego południu trudno myśleć bez smutku a o wieczorze bez zgrozy...

Tadeusz Żeleński (Boy)

z tomu „Okno na życie” (Wrażenia teatralne).
Warszawa 1983. Biblioteka Boy'a.

PAŃSTWOWY TEATR im. AL. FREDRY w GNIEŹNIE

Sezon 1959/60 * **PANNA MALICZEWSKA** * Premiera 9. IV. 1960 r.

PAŃSTWOWY TEATR IM. ALEKSANDRA FREDRY W GNIEŹNIE

Dyrektor i Kier. Art. Teatru EUGENIUSZ ANISZCZENKO

GABRIELA ZAPOLSKA

Panna Maliczewska

sztuka w trzech aktach

O S O B Y

DAUM

FILO

EDEK

BOGUCKI

SEKWESTRATOR

KOLEDZY

Jan Borkowski

Tadeusz Włodarski

Wiktor Żeromski

Zdzisław Miłkowski

Edmund Pniewski

* * *

PANNA MALICZEWSKA

DAUMOWA

HISZOWSKA

ŻELAZNA

MICHASIOWA

Alicja Horanin

Janina Jankowska ✓

Eugenia Skorna

~~BARBARA ŁASKA~~

Walentyna Lisowska

~~HELENA DRZEWIECKA~~

Halina Łuszczewska

Danuta Nowak

Barbara Łaska

Scenograf HALINA RÓŻEWICZ

Reżyser KRYSZYNA TYSZARSKA

Sufler
Inspicjent

TEKLA WARGUŁOWA
BARBARA ŁASKA

ZESPÓŁ TECHNICZNY

Kierownik techniczny	JÓZEF POLEROWICZ
Pracownia krawiecka - damska	MARIA DYBOWSKA
Pracownia krawiecka - męska	STANISŁAW PARULSKI
Pracownia stolarska	WITALIS STRZELECKI
Pracownia malarska	TADEUSZ BIAŁKIEWICZ
Pracownia fryzjerska	HELENA SZALATA
Pracownia tapicerska	JÓZEF BIAŁCZYK
Pracownia ślusarska	FRANCISZEK OSIŃSKI
Rekwizytor	LEON WOLNY
Światła	STANISŁAW BUDZYŃSKI
Brygadierzy	STEFAN WICHNIEWICZ FELIKS NAWROCKI

GABRIELA ZAPOLSKA

(

Krowięta

Studium teatralne

I

Brzydkie słowo!

A przecież ono istnieje, a co większa, ma rozległe zastosowanie.

— Zapewne w świecie zwierzęcym?

— Nie — „krowięta” jest mianem czysto ludzkim.

— Gdzież się ludzie tak zowią?

— Za kulisami!

— Ah! ...j'y suis.

— Zapewne krowiętą zowią lożmajstrową, posługaczkę, garderobianą lub coś podobnego.

— Mylicie się. Krowiętą jest właśnie aktorka w początkach swojej kariery.

Słówko to wyrosło na niwie krakowskiej, tym niewyczerpanym źródłu talentów i humoru.

I stamtąd przeniosło się do scen innych, a zyskawszy prawo obywatelstwa, rozwieliło się na dobre.

Na pozór słodkie, drobne, nic nie znaczące, jest w gruncie przerażające, bolesne.

Jak gorące żelazo przylega do czoła napiętnowanej tym mianem istoty i często lże bolesną wyciska.

Każda scena ma swoją „krowiętę”, wyjąwszy tej, gdzie aktorki na kształt grzybów w koszu okrywają się latami i... zmarszczkami.

Tam „krowięty” nie istnieją, chyba w formie debutantek.

Przechodzą wtedy krótką, ale pamiętną dla siebie szkołę.

Krowiętą jest więc każda bez wyjątku istota, pragnąca poświęcić się scenie i rojąca sny złote.

Im więcej zapału w piersi, im więcej rozwinięcia umysłowego, zamiłowania w pracy tym więcej ironii, śmiechu i dotkliwych żartów ze strony kolegów.

Od pierwszej chwili krowięta jest przedmiotem zabawy całego personelu teatralnego.

Piszą do niej anonimy i bawią się rumieńcem wstydu, jaki okrywa czoło dziewczyny podczas czytania tych słów bezczelnych.

Przyczepiają jej z tyłu kalosze lub diabełki z czerwonego sukna, znajdując w tej zabawie wiele wdzięku i pomysłowości.

Gdy rozpoczyna pierwsze słowa swej roli, wszyscy stają jak skamieniały w dziwacznych pozach, udając zachwyt bez granic.

Gdy onieśmiewiona, drżąca z oburzenia, zająknie się, wszyscy wybuchają śmiechem lub wzruszają ramionami, dając tym do poznania, że „nic z niej nie będzie”.

Na jej nieśmiałość „dzień dobry” nie zwraca nikt uwagi lub przeciwnie, z najwyższą przesadą biją przed nią gremialnie uktony pełne udanego szacunku.

I wszyscy biorą udział w tej niewinnej zabawce!

Sam pan reżyser wywiera swój zły humor na nieszczęsnej ofierze, a maszyniści popychając „łatami” lub „blejtramą”, dopełniają całości.

Jeśli kobieta wstępująca na scenę jest osobą dobrze wychowaną lub, co najgorzej wyształconą, wtedy „żarty” owe przybierają wszelkie pozory przesładowania.

Czym to wytłomaczyć?

Czy zawiścią ciemnoty do tego, co już oświecone, Bóg to wie!

Tymczasem początkująca aktorka przechodzi męki równe dantejskim potępieńcom.

Bezustannie wyśmiewana, wyszydzana, obmawiana, mając do walczenia częstokroć z materialnym niepowodzeniem, upada pod brzemieniem smutku i ogarnia ją apatia moralna.

Kryje się wśród kulis jak zwierzę poranione, unikając dostania nowej roli, która jest dla niej nowym źródłem przykrości i męczarni.

Niejeden talent w samym zarodku w ten sposób zamarł, nie zaświeciwszy nawet jasnym blaskiem.

W naturze aktorki, a zwłaszcza obdarzonej poczuciem piękna, jest wielka drażliwość, zresztą tak właściwa kobiecie.

Każde szyderstwo ona jednak podwójnie odczuwa.

I dzieje się z nią, z jej duszą, z jej talentem to, co z kwiatem mimozy. Zamyka swe listki i zamiera.

O sztuko! która swe własne dzieci na poniewierkę i zatrutę posyła! Czymże ty jesteś! ty, sztuko!

Czyż purpura twoja lamówki z błazeńskiego kaftana ma pożyczoną? — Czy ty jesteś u nas jeszcze tak bezsilną, że imię twoje nie jest dostateczną osłoną wstępującej do twych świątyń kobiecie?

Dziewczyna marzy o sławie, głowa jej płonie, drży cała, siedząc pomiędzy widzami — och, ona chciałaby w jednej chwili być między nimi, między tymi ludźmi, którzy mówią o ideałach, ogień mają w piersi i lzę w oku.

Do nich! do nich czym prędzej!

Nie zważa na prośby rodziny, zrywa węzły, wiążące ją ze światem i jak orle do słońca, rwie się do... sceny.

Dostaje się wreszcie, jest u szczytu marzeń — mniejsza, że gaża nie wystarcza na zaspokojenie głodu; ona zimna i głodu nie czuje; słyszy tylko wokoło siebie tych ludzi, których uwielbiała, widzi te kobiety, z którymi płakała, jest wśród nich! na zawsze!

Wśród nich!

I przechodzi dni kilka, a już promienie w oku dziewczyny gasną, jeszcze dni kilka, a lzy zjawiają się jak gość codzienny.

Ci, do których dążyła, przyjęli ją w dziwny sposób, stanęli wrogo, zwarłym murem, przeciwko biednemu stworzeniu, które pracować chciało.

I ta, która marzyła o Ofelii, została... krowiętą.

Nie pomagają jej tysiączne sposoby, jakimi chce rozbroić swoich przesładowców.

Oddaje im tysiączne przysługi, usuwa się z drogi, zamiast polepszyć, pogarsza swoje położenie.

II

Najstraszniejsze w tej mierze są tak zwane „stare aktorki”.

Z minami zdetronizowanych królowych wydają rozkazy „krowiętom”, wpatrzonym jak w tęczę w te twarze pełne bruzd i złośliwego jadu.

Dla nich żadna „krowięta” nie ma nazwiska.

Jest to po prostu „panna”.

Czy serce tych kobiet jest tak skamieniałe jak słoik od crème Simona, z którego czerpią maść pokrywającą ich zniszczone twarze?

Według najnowszych badań damy te wcale „serc” nie mają.

Doza jednak złośliwości przewyższa w nich wszystkie ludzkie uczucia. Ponieważ „stare aktorki” bywają zwykle bardzo... dystyngowane, złośliwość ta ma cechy dobrego wychowania.

Niemniej przeto ukłuć, a nawet zranić potrafią.

Wobec ludzi wszakże, dla otarcia krwi płynącej z tej rany, podadzą swoją batystową chusteczkę.

I to coś znaczy.

Tymczasem dziewczyna walczy, pracuje, popychana ciągle na dno, tonie czasem, będąc już przy brzegu.

Na próżno wyciąga ręce, chce pomocy, opieki, dobrego słowa...

Z chwilą gdy gaz „w kanałach” gaśnie, a żelazna kurtyna z brzękiem zasuwa się na scenę, aktorzy zdejmują sceniczną garderobę, a razem z nimi i szlachetniejsze uczucia.

I natychmiast zaczyna się rozmowa.

— Krowięta się zasypała!

— Wygląda po męsku jak krzak! Czysta przystawka.

— O, jeszcze ją widać, patrzcie jak idzie! trzeba jej jutro posłać Marion Delorme — niby od dyrekcji. Będzie się uczyć, a potem zrobimy z nią próbę. Będzie szopa!

A biedna dziewczyna przechodzi jak przez różgi w opiętym aksamitnym stroju, okrywającym niedostatecznie jej wątłe wychudzone kształty.

Słyszy za sobą śmiech mężczyzn, widzi uśmiechy szydercze kobiet i oczy pełne jeszcze gazowego blasku, zachodzą łzami, które po ufarbowanej twarzy spływają wielkimi, drżącymi kroplami.

Krowięta pobiera gaży od dziesięciu do trzydziestu guldenów lub rubli, stosownie do miejscowości, w której przebywa.

Za to winna się ubrać na scenę. To znaczy — powinna mieć kilka toalet balowych, kostium markizy, subretki, wieśniaczki, parę eleganckich toalet wizytowych z odpowiednimi akcesoriami.

Również musi posiadać kostium hiszpański, włoski, grecki, egipski, nawet starożydowski. Dyrekcje bowiem pod względem strojów wymagają wiele.

Płacą też odpowiednio. Dziesięć lub piętnaście guldenów! Toć to wspaniała gaża.

Dziewczyna więc nie je, nie śpi, szyje sama drżącymi ze zmęczenia rękami i te palce, które nigdy może igły nie trzymały, teraz wśród nocy kłują zniszczony welet, naszywając go błyszczącymi blaszkami.

Jeżeli nazajutrz rano zjawi się na próbie pobladła, zmęczona, z wyrazem znudzenia na twarzy, koledzy jej z dwuznacznym uśmiechem pytają:

— Czy dobrze się bawiła?

Ona uśmiecha się również, ściskając nerwowo swe pokłute od igły ręce.

Jakaś fałszywa ambicja nie pozwala tej kobiecie powiedzieć całej prawdy. Skrywa swą nędzę jakby ranę, sądząc, że nędza to jedna śmieszność więcej.

Po części ma i słuszność.

A teraz, czy w podobnych warunkach może się wyrabiać talent, może wzrastać chęć do pracy?

Trzeba wielkiej siły woli, aby przejść przez taki ogień czyszcowy, nie straciwszy nic z pierwotnego zapału.

Trzeba niepospolitej znajomości swej własnej wartości, aby nie zwątpić i nie upaść pod ciosami szyderstwa i nędzy.

Trzeba powiedzieć sobie *unguibus et rostro* (pazurami i dziobem) — to moja dewiza — i z czołem podniesionym iść naprzód do raz zamierzonego celu.

Z „krowiąt” wyrastają czasem artystki niepospolite lub pozostają do końca swej kariery... krowiętami.

Taka jednak artystka, która w młodości swej przeszła twardą szkołę, jest zwykle smutna i zgnębiona, nawet wśród najpiękniejszego powodzenia.

III

Trzymając w ręku kwiaty, mimo woli wraca myślą do tych chwil, w których głodna, zziębnięta, wyszydzone, uciekała do swej garderoby pod grałem złośliwych przycinków.

Przebaczyć można, ale zapomnieć... nigdy.

Najsmutniejszy jednak, najbardziej bolesny widok przedstawia kobieta, która opuściwszy skrzydła, pod wpływem rozgoryczenia nie poszła dalej... lecz została... „krowiętą”.

Spojrzyć na tę twarz wychudłą, okrytą siecią zmarszczek, w którą zda się wgrzyzła szminka, na te plecy zgarbione, włoczone w ciasny stanik ze zrudziałego aksamitu, na tę postać całą lekliwą, pokorną, nieśmiałą, usuwającą się każdemu z drogi — smutek prawdziwie przejmujący, zwątpienie ludzi ogarnia. I mimo woli zapytujemy siebie: co się kryło pod tym czołem pooranym brudami? Kto wie? może tam była inteligencja wielka, może ta pierś, obciśnięta zrudziałym stanikiem, mogła wydać głos srebrny, śmiejący się czystą kaskadą lub dźwięczący prawdziwą nutą serdeczną.

Czy ta kobieta powinna powiedzieć razem z operetkową królową: *fatalité*?

Zdaje się, że to — fatalność!

Nic więcej!

Jeśli „krowiętą” ma dużo sprytu i zna się na brylantach, wypływa inną falą, mętłą, błotną... marne, okropne to wyróżnienie — ale wyróżnienie.

Pozostaje artystycznym zerem, ale imponuje jedwabiem i niskim wyścięciem stanika.

Szelest materii „jak skóra” — białosc odkrytych ramion i połysk drogich kamieni imponują w świetle desek i tekturowych koron.

Nędza sprowadza szyderstwo, tren podbity koronką za 500 franków nisko głowę schylać każe.

Co więcej nawet pióra Zoiłów nie tak ostro bywają przycięte, gdy miękkie fale pluszu i koronek owina ciało nicości artystycznej.

Krowięta jest wtedy „elegancką”, i to wystarcza.

Drogo jednak kupuje ona te materie, które w podziw wprawiają tłumy: „wzmianki” reklamarskie w pewnej kategorii dziennikach ileż kosztują zachodu, flirtowania a czasem i tego, co ludzie zwą... miłością.

Teatr to świeca płonąca jasno wśród ciemności nocnej, kobiety to ómy krążące dookoła — płomień je wabi... ciepło nęci...

Trzask... óma spłonęła!

I scena, jak wiecznie nienasycona paszcza olbrzymiego zwierza, chłonie w siebie bezustannie coraz nowe ofiary. Idą z uśmiechem i nadzieją w sercu, a raz wpadłszy w paszczę potwora, w tę otchłań sznurów, płótna, desek, kołków, świderków, lat, przystawek, fersegungów, wolnych okolic, błakają się zniechęcone, rozczarowane smutne jak te duchy, co wszelką nadzieję zostawiły za sobą.

Śród snów gorączkowych majaczyły im przed oczyma wielkie, szlachetne postacie lub demoniczne, tchnące nieprzepartym czarem Dalile, Balladyny!

I już, już widziała się każda z tych dziewczyn w białej szacie błędząca po lesie z krwawym nożem w dłoni... To znów spowita w gazy, czarowała Rosweina lub rozpaczała po zgonie Riccia!...

Któraż nie rola tych snów złotych! W rzeczywistości jednak pan reżyser każe jej być damą dworu w „Urzędowej Zonie” lub starą panną w szablonowej komedii. Czasem dla „szopy” ubierają ją za pazia w tak zwane „szpongi” i przypinają chorągiewki do pończoch lub pantofli.

Rzeczywistość jest straszna, nieubłagana...

Z Marii Stuart, Dalili, Klary pozostaje... krowięta!

Trywialne to słowo.

Brzydkie, niesmaczne!

Stworzył je inspicjent, gdy na pół pijany trzymał scenariusz „Księcia Niezlomnego”.

Młoda debiutantka stała cała drżąca w długiej sukni z wyblakiego kaszmiru. Grała powiernicę.

Miała powiedzieć dwa słowa.

Gdy przyszła na nią kolej, inspicjent zawołał:

— Krowięta na scenę!

Weszła bez wahania, przyjmując tym milczeniem nazwę jaką na jej głowę rzucono.

Była to protoplastka tej wielkiej rodziny. Dziś jest „artystką” na tak zwanym „stanowisku”, ale w serce jej wgrzyzła się ta nazwa jak napis w kamienną płytę.

Gdy teraz inspicjent, podając jej z uprzejmym uśmiechem rekvizyt, mówi „bacznosc, pani wjeżdża!” — ona gotując się do wejścia na jasno oświetloną scenę, przypomina sobie tragedię Calderona, a w uszach jej brzmia ochryply głos pijaka:

— Krowięta na scenę!...

W PRZYGOTOWANIU

SZEKSPIR

Perykles Księżę Tyru

romans dramatyczny

Cena

1,80 zł

DYREKTOR I KIER. ARTYST. TEATRU
EUGENIUSZ ANISZCZENKO

SEZON 1959/60

ze zbiorów
Sierpiana Góssowskiego